



W tym numerze:

Chronologia dziejów	1
Szef kuchni i fotograf książański	4
Alfred Zucker	5
Legenda o cierniowskiej „Nadziei”	6
Motywy mitologiczne... cz.I	7
Gustloff - inna strona historii	10
Świebodzicka orkiestra miejska	12

Numer 7 (188) Lipiec 2013

Chronologia dziejów

22 i 23 czerwca, na stadionie przy ul. Rekreacyjnej odbywały się imprezy związane z miejskim świętem. Dla każdego przygotowano coś ciekawego – dla najmłodszych dmuchane zjeżdżalnie, trampoliny, wesołe miasteczko, dla starszych - stoiska gastronomiczne i występy artystyczne oraz koncerty gwiazd.

Tegoroczne gwiazdy zdecydowanie trafiły w gusta mieszkańców miasta. Podczas sobotniego koncertu Krzysztofa Krawczyka i niedzielного występu legendarnego TSA na stadionie były tłumy widzów.

Organizatorem „Dni Świebodzic” był Ośrodek Sportu i Rekreacji.

Sprzęt kupiony przez fundację Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy trafił również do naszego miasta. Otrzymał go Oddział Geriatryczny szpitala im. Mikulicza. Każde urządzenie jest oznaczone serduszkami WOŚP i informacją, że pochodzi z zakupów 21. Finału WOŚP.

Sąd Okręgowy w Świdnicy uznał 29-letniego mieszkańca Świebodzic winnym pedofilii. Oskarżonemu wymierzono karę łączną 8 lat i 6 miesięcy pozbawienia wolności.

Dwie, bardzo ciężko ranne osoby i jedna ofiara śmiertelna - to wynik wypadku drogowego, do którego doszło 30 czerwca przed godz. 19.00 w Jaskulinie (gm. Dobromierz). Śmierć na miejscu poniósł 24-letni mężczyzna – mieszkaniec Jaskulina. Jeden z dwóch rannych, zmarł w szpitalu. Obaj, to mieszkańcy naszego miasta

Z niewyjaśnionych przyczyn kierujący pojazdem marki Rover, 24-latek, zjechał na prawe pobocze, a następnie uderzył prawym bokiem w przydrożne drzewo.

1 lipca, przed godziną 12⁰⁰, na ul. Wałbrzyskiej (przejście przy Placu Jana Pawła II) doszło do nie-

zwykle tragicznego wypadku, w wyniku którego śmierć poniosła 81-letnia kobieta - mieszkanka ul. Świdnickiej.

14-letni chłopiec utonął w poprzemysłowym zbiorniku. Do tragedii doszło 10 lipca około godziny 15.00. Grupa dzieci w podobnym wieku bawiła się na dzikim kąpielisku przy ulicy Przemysłowej. Jeden z chłopców wszedł do wody, by popływać i nie wrócił na brzeg. Nie wiadomo, zaplątał się w roślinność, czy po prostu stracił siły. Matka chłopca pracuje za granicą, nastolatek pozostawał pod opieką babci.

Reżyser „Sali Samobójców” Jan Komasa, realizuje nową produkcję. Od 10 lipca, przez tydzień, „Miasto 44” kręcone było w Świebodzicach. Wcześniej ekipa filmowa zawitała do Wrocławia i Walimia.

Scenariusz do obrazu powstał osiem lat temu, film bowiem miał być gotowy na 65. rocznicę wydarzeń z 44 roku. Z powodów finansowych przesunięto jego realizację.

Jest to opowieść o młodych, pełnych życia i namiętności warszawiakach. Żyją tak, jakby każdy ich dzień miał się okazać tym ostatnim. Nie wynika to jednak z nadmiernej brawury czy młodzieńczej lekkomyślności – taka postawa jest czymś naturalnym w otaczającej ich rzeczywistości.

Głównych bohaterów filmu poznajemy na krótko przed wybuchem Powstania. Konspiracja to dla nich nie tylko patriotyczny obowiązek, ale i młodzieńcza przygoda, okazja do zabłyśnięcia przed ró-



MIASTO 44

wieśnikami, zaimponowania dziewczynom. Na podziemnych szkoleniach romansują, popisują się, snują plany. Nie wiedzą, że nadchodzące lato będzie dla nich prawdziwym egzaminem życia. Nie wiedzą, że Historia ma wobec nich pewne plany...

Połączeni przyjaźnią bohaterowie, tworzą jeden z najodważniejszych powstańczych oddziałów. Stają się świadkami poświęcenia czy bohaterstwa, ale także okrucieństwa, zdrady i zbrodni. Uczą się miłości i poznają, czym jest nienawiść. Wbrew woli otrzymują od Historii krwawą i brutalną lekcję dojrzenia.

„Miasto 44” to obraz, który ma opowiadać o historycznych wydarzeniach bez patosu i nadęcia. Reżyser chce odbrzązować powstańców z jednej strony, a z drugiej – nie pominąć ich bohaterstwa. Komasa nie ukrywa, że czuje sporą odpowiedzialność.

– Głównie dlatego, że jest drogi film. Koszty szacujemy na 24 mln zł, które pochodzą z pieniędzy publicznych, za film zapłaci więc każdy Polak – mówi.

– Świebodzice mają idealny, duży obiekt. Przygotowanie go – wieszanie obrazków, sztyldów, znośnienie mebli, noszenie gruzu, a także dobudowanie niektórych elementów itd. zajęło trzy miesiące. Ten plan odzwierciedla dzielnicę Czerniaków i ulicę Wilanowską. Tu kręcone są wyłącznie sceny batalistyczne z 15. i 21. września – zdradza Martyna Weryńska-Górecka, specjalista ds. PR.

W produkcji udział bierze ponad 100 osób i 3 tysiące statystów, z czego około stu, to świebodzianie.

– Na pewno nie pojawią się w niej popularni aktorzy. Obsada to osoby raczej mało znane. Jedne z bardziej rozpoznawalnych nazwisk to Zofia Wichłacz, Antoni Królikowski, Tomasz Schuchardt czy Anna Próchniak. Pojawia się też Konrad Marszałek urodzony w Świdnicy – dodaje.

Krwawiące rany, poparzenia, rozszarpane mundury, brud i nędza wyglądają tu bardzo realistycznie. Zadbali o to cały sztab profesjonalistów, takich jak m.in. główny charakteryzator Dariusz Krysiak.

– To dla mnie komplement, ale zajmuję się tym zawodowo, lubię swoją pracę i tak to ma właśnie wyglądać – mówi. – Musieliśmy oddać realia wojny, zatroszczył się o to 4-osobowy zespół charakteryzatorski i fryzjerka. Pokazując czasy od maja do czerwca trzeba było ukazać to jakie fryzury nosiły ówczesne kobiety, w śródmieściu bardzo długo mieli bieżącą wodę i dbano o higienę. W późniejszym etapie filmu, zadbaliśmy o to by kobiety nie regulowały brwi, ani nie depilowały owłosienia na ciele. Musieliśmy uważać też na tatuaże i skutecznie je ukrywać pod odzieżą lub krwią – opowiada.

Równie ważną rolę pełnią w „Mieście 44” kostiumy. Za nie odpowiada Magda Rutkiewicz-Luterek, kostiumograf wojskowy.

– Wiedzę w tym temacie przekazali mi rodzice Jadwiga i Jan, którzy działali m.in. w takich seria-

lach jak „Dom”, czy „Polskie drogi”. Ten film, jak wszystko co dotyczy walki o Polskę, ma dla mnie duże znaczenie i jest to kolejne wyzwanie. Trudność dobrania odpowiedniego kostiumu polega na tym, że trzeba to udokumentować – zapoznać się z tematem. W tym celu przejrzałam wiele archiwów, rozmawiałam z osobami, które tamte czasy pamiętają. Dowiedziałam się na przykład, że talizmanem dla Powstańców były czapeczki zwane „bandytkami” – miały one oznaczać, że zabiło się wroga i stanowiły one pewnego rodzaju nieśmiertelnik. W filmie zetkną się różne grupy i kostiumy: panterki, swetry, koszule, mundury. W ostatniej dzielnicy na Czerniakowie – oddział Czarnego charakteryzował się najbardziej zniszczonymi, obdartymi ubraniami. Wiele osób nosiło chusty na głowach, by móc zakryć twarz i nie wdychać unoszącego się w powietrzu kurzu czy dymu. Mamy tu taki mały kącik kulinarny, bo zniszczenia odzieży dokonuje się na przykład tarką do buraków – śmieje się Magda Rutkiewicz-Luterek.

Premiera filmu planowana jest na 1 sierpnia 2014 roku, czyli w okrągłą 70. rocznicę Powstania Warszawskiego. Dzieło Komasy, na wielkim ekranie, zbudowanym specjalnie na premierę, obejrzy wówczas na Stadionie Narodowym 15 tysięcy osób.
tekst, foto: Marlena Mech

Za około 17 mln zł powstanie lotnisko w Świebodzicach. Zarząd Województwa Dolnośląskiego przeznaczył 150 tys. złotych na opracowanie dokumentacji jego budowy.

Nowe lotnisko ma pomóc w rozwoju strefy ekonomicznej w Wałbrzychu i skomunikować zamek Książ oraz aglomerację wałbrzyską z resztą regionu.

Przewiduje się, że na lotnisku powstaną dwa pasy startowe o długości 1000 m: trawiasty i utwardzony; płyta postojowa, droga kołowania, hangar postojowy o pow. 100 m², hangar techniczny 400 m², kontenerowe zaplecze administracyjno-biurowe, lotniskowa stacja paliw, parking, ogrodzenie.

Te i inne konkrety pojawiły się na konferencji prasowej, którą w piątek, 19 lipca, odbyła się w Zamku Książ. Wzięli w niej udział: Członek Zarządu Województwa Dolnośląskiego Jerzy Tutaj, Prezydent Wałbrzycha Roman Szelemej, Burmistrz Świebodzic Bogdan Kożuchowicz oraz Jarosław Wróblewski, Wiceprezes Zarządu Spółki Port Lotniczy Wrocław S.A. Podczas konferencji Jerzy Tutaj oficjalnie przekazał burmistrzowi Świebodzic uchwałę Sejmiku Województwa Dolnośląskiego o przeznaczeniu 150 tys. zł na sporządzenie dokumentacji budowy lotniska w Świebodzicach. 50 tys. zł dołoży Gmina Świebodzice.

– To już nie idea, ale konkretne działanie – mówi marszałek Tutaj. – Lotnisko jest priorytetowym zadaniem dla Dolnego Śląska. Zakładam, że powstanie do 2020 roku. Będzie to lotnisko sportowo-

dyspozycyjne, przewidziane dla małych samolotów pasażerskich.

* * *

Starania o budowę lotniska dla małych samolotów burmistrz Bogdan Kozuchowicz podjął w momencie objęcia funkcji burmistrza czyli od 2006 roku. Pierwsze próby zawiązania stowarzyszenia gminnego lub nawet spółki nie powiodły się, bo okoliczne samorządy z rezerwą podchodziły do tematu. Dwa lata temu gmina Świebodzice przejęła lądowisko od Aeroklubu Wałbrzyskiego, a administrowanie obiektem powierzyła nowo powstałemu Towarzystwu Lotniczemu w Świebodzicach. Dzięki energii prezesa Grzegorza Glegoły już kilka miesięcy później lądowisko uzyskało wpis do rejestru lotnisk cywilnych, a w ubiegłym roku rozpoczęły się szkolenia szybowcowe. Lądowisko jest także miejscem Pikników Lotniczych, organizowanych dwa razy w roku dla mieszkańców regionu. Ale co najważniejsze - udało się zainteresować tematem lotniska władze wojewódzkie, czego efektem jest wpis do Strategii Rozwoju Województwa Dolnośląskiego na lata 2014-2020 i konkretne plany budowy lotniska dla małych statków powietrznych.

Na co dzień, leżą starannie poukładane w domowych szufladach. Dla ich właścicieli to prawdziwe skarby i cenne trofea. Czasami te cuda mają szansę ujrzeć światło dzienne i zachwycić innych. Tak jak podczas pokazu numizmatycznego „XXX lat Polskiego Towarzystwa Numizmatycznego w Świebodzicach”.

Dwudniowa wystawa obyla się 22 i 23 czerwca w sali głównej Miejskiego Domu Kultury. Zaprezentowano na niej eksponaty numizmatyczne członków świebodzickiego Koła PTN oraz medale zdobyte przez członków świebodzickiego Koła Nr 1 Polskiego Związku Filatelistów na wystawach filatelistycznych w kraju i na świecie.

W środę 17 lipca o godzinie 11⁰⁰, Burmistrz Miasta Bogdan Kozuchowicz otworzył kąpielisko miejskie przy ul. Rekreacyjnej 1.

Pierwszy dzień funkcjonowania kąpieliska po modernizacji był dniem bez opłat za wstęp, co z pewnością było dodatkowym prezentem dla świebodziczian. Każdy, kto pojawił się na otwarciu, otrzymał od Wydziału Promocji UM gadżety i drobne upominki.

Szczególny zachwyt wzbudziło boisko do gry w piłkę plażową, duże, z możliwością prowadzenia rozgrywek i w siatkówkę, i w ręczną jednocześnie, wysypane piaskiem i ogrodzone.

Modernizacja kompleksu basenowego w I etapie objęła budowę zaplecza socjalnego - gastronomicznego wraz z infrastrukturą techniczną dla zespołu basenów (o powierzchni 712,4 m² i kubaturze

1879,3 m³), a także montaż i przyłączenie nowej instalacji systemu uzdatniania wody. Prace na terenie kąpieliska rozpoczęły się pod koniec ubiegłego roku, jednak na kilka miesięcy przerwała je surowa i długotrwała zima. Tak naprawdę wykonawca rozpoczął prace pełną parą w kwietniu tego roku. Udało się sporo nadgonić, ale oddanie obiektu do użytku ostatecznie opóźniło się o dwa tygodnie.

Wartość tego zadania to blisko 3 mln zł.

W II etapie modernizowane będą basenowe niecki, przybędzie także wodnych atrakcji typu gejzery i zjeżdżalnie. Na to musimy jednak poczekać do 2015 roku.

Blisko 800 tys. złotych przeznaczyła Gmina Świebodzice na wakacyjne remonty w szkołach. Największy zakres prac objął Przedszkole nr 2 im. Jana Pawła II. Jeden z budynków placówki jest w trakcie termomodernizacji. Wymieniono już okna, obecnie montowane jest ogrzewanie na budynku.

W Gimnazjum nr 1 remontu doczekały się wiekowe toalety. Będzie ich więcej a sanitariaty będą nowoczesne i funkcjonalne.

Z kolei w Szkole Podstawowej nr 4 trwa malowanie i odświeżanie sal dydaktycznych, połączone z wymianą instalacji elektrycznej i wykładzin.

Wkrótce rozpoczną się remonty w kolejnych placówkach. W sierpniu ekipy budowlane pojawiają się z Zespole Szkół Podstawowo-Gimnazjalnym na Osiedlu Piastowskim – tu także rozpocznie się remont toalet. W Szkole Podstawowej nr 3 planowany jest remont instalacji elektrycznej (parter), wymiana wykładzin na korytarzach oraz drzwi wejściowych do klas. W Przedszkolu nr 3 konieczna jest wymiana instalacji elektrycznej.

Trójka spośród 8-osobowej grupy, która szkoli się z latania szybowcem na świebodzickim lądowisku, ma już za sobą pierwsze samodzielne loty. Szkolenie prowadzi Towarzystwo Lotnicze w Świebodzicach. Kurs podstawowy rozpoczął się 6 lipca pod dowództwem instr. pil. Mariusza Koneckiego.

- Nauka dotyczy podstawowych umiejętności lotniczych a więc startu, lotu nadlotniskowego oraz lądowania na szkolnym szybowcu Puchatek przy użyciu do startu wyciągarki - wylicza Grzegorz Glegoła, szef TLS.

Biorący udział w szkoleniu młodzi ludzie zostali objęci dofinansowaniem przez Gminę Świebodzice, dzięki czemu pokrywają tylko symboliczną część kosztów.



Na lądowisku w sezonie ciągle coś się dzieje, lądują tu szybowce i śmigłowce (ostatnio ekipa telewizji TVN, która kręciła materiał o Zamku Książ). Obecnie nasi lotnicy przygotowują się do udziału w Festiwalu Tajemnic Zamku Książ oraz do Militarynego Pikniku Lotniczego, który odbędzie się w przedostatni (24-25) weekend sierpnia.

Katarzyna Matula, Magdalena Woch
Centrum Europejskie,
Zamek Książ w Wałbrzychu Sp. z o.o.

Szef kuchni i fotograf książański Louis Hardouin

Na początku XX wieku w zamku Książ u rodziny Hochbergów pracowało około trzystu służących. Ogrodnicy, pokojówki, kamerdynerzy zamkowi stanowili bardzo istotną część mieszkańców zamku.

Życie pracowników zamkowych toczyło się



m.in. na czwartym i piątym piętrze, gdzie poza pokojami mieszkalnymi części służby, znajdowała się także sterylna, wyłożona białymi kafelkami kuchnia zamkowa, zwana kuchnią Hochbergów. Lokalizacja na tak wysokiej kondygnacji nie była przypadkowa. Uniemożliwiała ona rozprzestrzenianie się zapachów kuchennych na niższe piętra zamkowe, zamieszkałe przez księcia i jego rodzinę.

W kuchni znajdowały się trzy piece, do czterech jadalni zamkowych prowadziły cztery windy, którymi na niższe piętra zwożono potrawy oraz przywo-



Louis Hardouin z rodziną oraz po lewej sam

żono z powrotem do kuchni brudne naczynia. Z pomieszczeniem kuchennym sąsiadują bezpośrednio cztery duże chłodnie, w których przechowywano oddzielnie nabiał, ryby, mięso i dziczyznę. Chłodnie działały od wiosny aż do późnej jesieni a materiał chłodzący- ogromne tafle lodu- wycinano z książańskich stawów.

Szefem Kuchni Hochbergów był Louis Hardouin, który z zamiłowania był również fotografem. Urodził się w 1881 roku, dzieciństwo spędził na wsi we Francji. Po odbyciu służby wojskowej i opanowaniu sztuki kulinarnej Hardouin rozpoczął pracę w arystokratycznych domach. Swoją profesję traktował jako okazję do poznawania świata. Jego droga życiowa wiodła z Paryża przez St. Petersburg aż do Londynu. Tam w roku 1904 Louis Hardouin został od-



Pracownicy kuchni zamkowej

kryty przez księcia von Pless i zaangażowany jako szef kuchni w Zamku Fürstenstein.

Na Śląsku objawił się jego talent fotograficzny. W swoich zdjęciach Hardouin udokumentował ponad 20 lat historii zamku: jego architekturę, najbliższe otoczenie a także zamkowy personel, sceny z życia rodziny książęcej jak również fotografie z licznych podróży, w trakcie których zdolny szef kuchni towarzyszył książęcej parze. W latach 1914 - 1918 Louis Hardouin został internowany. Po likwidacji książęcego gospodarstwa w roku 1926 Hardouin przeniósł się wraz z rodziną do Anglii. Zmarł w roku 1954 pod Londynem.

Dwa lata temu do zamku Książ trafił oryginalny album ze zdjęciami jego autorstwa prezentujący ponad 130 fotografii zamkowych wnętrz i jego otoczenia z okresu 1909 -1930. Album został przekazany przez wnuczkę zamkowego szefa kuchni, mieszkającą w Kanadzie Jean Wessel. Materiał ten jest nieocenionym źródłem, ukazującym zamek, jakiego już nie ma, a część jego zdjęć od niedawna można oglądać na drugim piętrze, w skrzydle północnym zamku.

Krzysztof Jędrzejczyk Osiedle Piastowskie



Rafał Wietrzyński

Alfred Zucker (1852-1913) Wybitny architekt ze Świebodzic



Alfred Zucker uważany jest dzisiaj za jedną z najbardziej wpływowych postaci w historii architektury przełomu XIX i XX stulecia. Chociaż w Europie mało znany, pozostawił po sobie wiekopomne dzieła po drugiej stronie oceanu – w Stanach Zjednoczonych i Argentynie – gdzie żył i pracował przez blisko 40 lat.

Przyszedł na świat w Świebodzicach 23 stycznia 1852 r. w rodzinie inżyniera. Kształcił się w szkole technicznej w Brzegu, a następnie studiował na uczelniach w Aachen i Hanowerze (od 1868 do 1872 r.). W 1873 r. przenosi się na krótko do Berlina, gdzie studiuje w Akademii Technicznej, a na-

Budynek główny Uniwersytetu w Nowym Jorku z 1895 r.



stępnie wraca do Hanoweru i podejmuje pracę w państwowym kolejnictwie. Zajęcie to jednak nie satysfakcjonuje go, dlatego po kilku miesiącach decyduje się na emigrację zarobkową za oceanem. Trudno dziś dociec, co skłoniło Zuckera do wyjazdu do Stanów Zjednoczonych. Być może, tak jak większość jego rodaków w tym okresie, widział duże perspektywy dla siebie w Ameryce. Zresztą, Stany Zjednoczone w tamtych czasach rozwijały się w ogromnym tempie. Amerykański przemysł potrzebował wielu nowych rąk do pracy, kusząc emigrantów wysokimi zarobkami i zapewniając dobre warunki życia. Tak więc, decyzja o emigracji okazała się trafna i przyniosła niebawem świebodzicianinowi dużą sławę i zaszczyty.

Po przyjeździe do Ameryki osiedlił się w Waszyngtonie i w 1873 roku podjął pracę w Biurze Nadzoru Architektonicznego w Wydziale Skarbu pod kierunkiem Alfreda Mulleta i W.A. Pottera. Po trzech latach - w 1876 roku decyduje się jednak przenieść na krótko do Teksasu, a następnie do miejscowości Vicksburg w Missisipi, gdzie znajduje zatrudnienie, jako konsultant ds. kolei. Zaangażowanie w projekty budowlane i duża pomysłowość, zostają wkrótce zauważone i docenione. Bardzo szybko udaje mu się zrealizować kilka znaczących projektów architektonicznych. Są wśród nich m.in.: siedziba Państwowego Collegium A&M w Starkville (1877-1880), Państwowy Instytut dla Niewidomych w Jackson (1879-1880) oraz Ośrodek dla Psychiczenie Chorych w Meridian (1880-1882).

W 1882 r. Alfred Zucker – ze względów zdrowotnych – postanawia na krótko wrócić do Europy. Na starym kontynencie spędza niespełna rok, by w 1883 r. ponownie wyjechać do Ameryki (tym razem do Nowego Jorku). Tutaj udaje mu się nawiązać współpracę z amerykańskimi architektami: Henrym Dernbachem, a nieco później z Johnem Hinchmanem, z którym pracował aż do 1888 roku. W tym też czasie nasz bohater uczestniczy w kilku ważnych przetargach budowlano-projektowych na różnego rodzaju kluby, teatry, hotele, apartamenty i budynki administracyjne. Kilka z nich udaje mu się wygrać. Jest wśród nich ekskluzywny „Progress Club” – dla niemieckojęzycznej społeczności żydowskiej, Uniwersytet w Nowym Jorku oraz rezydencje dla tak majątnych rodzin jak: Rotschildowie, Lauterbachowie czy Goldembergowie.

W latach 80-tych XIX wieku Alfred Zucker angażuje się w rozbudowę nowej dzielnicy kupieckiej w zachodniej części dolnego Broadwayu. Ma



Majestatyczny „Plaza Hotel” w Buenos Aires otwarty w 1909r.



Grób Alfreda Zuckera w brytyjskiej części cmentarza „La Chacarita” w Buenos Aires

to związek z panującym wówczas w Nowym Jorku boomem budowlanym, który przynosi świebodzicianinowi wiele intratnych kontraktów na różnego rodzaju budynki, budowle i domy kupieckie. To właśnie w jego biurze projektowym powstają konstrukcje i plany architektoniczne tak majestatycznych budowli jak: „Cohnfield Building” (1884), „Decker Building” (1892) oraz „Rouss Building” (1889).

Budowle te charakteryzowały się wykorzystaniem żeliwnych elewacji z zastosowaniem popularnych stylów epoki. W 1891 r. Zucker tworzy też jeden z najwybitniejszych projektów architektonicznych w Nowym Jorku – potężny (jak na tamte czasy) „Majestic Hotel”, którego budowę rozpoczęto w 1894 r. To właśnie przy jego wznoszeniu użyto nowatorskich, w tamtym okresie, stalowych rusztowań ramowych, produkowanych przez znaną firmę „Milliken Brothers Company”.

Po 1896 roku, prowinie z projektów architektonicznych Zuckera nieco się zmniejszyły. Być może był to powód, by w 1902 roku zawiązać spółkę ze znanym architektem amerykańskim Jamesem Riely Gordonem. Współpraca jednak nie układała się pomyślnie. Po dwóch latach - w czerwcu 1904 roku - Alfred Zucker zdecydował się zbiec do Ameryki Południowej (najpierw do Montevideo w Urugwaju, a później do Buenos Aires w Argentynie), zabierając ze sobą 100 tysięcy dolarów. Gordon nie mógł mu tego wybaczyć. Wniósł sprawę do sądu, oskarżając swojego byłego współnika o oszustwa i defraudację dużej sumy pieniędzy.

Na nowym kontynencie, Alfred Zucker postanowił ponownie ułożyć sobie życie, angażując się w intratne projekty architektoniczne. Zresztą był postrzegany w Ameryce Południowej jako prekursor amerykańskiej architektury i stylu, którego był propagatorem w Nowym Jorku przez ostatnie 20 lat. To dzięki jego architektonicznym pomysłom i projektom, Argentyna stała się po części lukratywnym rynkiem dla amerykańskich eksporterów nowych technologii budowlanych. Podczas swoich ostatnich 9 lat życia, które przyszło mu spędzić w Ameryce Południowej, Zucker zaprojektował wielkie budowle, które na trwale wpisały się w historię architektury Argentyny i przyniosły mu nieśmiertelną sławę. Do nich można zaliczyć najbardziej luksusowy i nowoczesny w tamtych czasach „Plaza Hotel” w Buenos Aires, wybudowany w 1909 roku z funduszy argen-

tyńskiego milionera i bankiera – Ernesta Tornquisty. Poza tym, świebodzicianin był twórcą wielu innych doskonałych projektów, wśród których wyróżniały się: „Villalonga Building” w Balcarcare, „Grand Hotel Casino” w Belgrano czy „Avenida Palace Hotel” w jednej z luksusowych dzielnic Buenos Aires.

Alfred Zucker zmarł 2 sierpnia 1913 roku w Buenos Aires i pochowany został na tamtejszym cmentarzu brytyjskim.

Źródła:

Alfred Zucker: An Inventory of his Drawings 1880-1904 (www.Texas Archival Resources Online);

Alfred Zucker (www.wikipedia.de);

Joffrey W. Cody: Exporting American Architecture 1870-2000, London 2003, s.19-22;

Alfred Zucker 1852-1913 (www. Historie, Institutions and Characters In Argentyna by Eduardo A. Kesling)

Legenda o cierniowskiej „Nadziei”

Pod koniec osiemnastego wieku, wkrótce po wytyczeniu drogi węglowej, służącej do transportu węgla z nowych wałbrzyskich kopalń do portu rzeczno-ego w Malczycach, w połowie drogi biegnącej wzdłuż wsi Ciernie, mieszczanin Max wybudował oberżę „Pod Wesołym Woźnicą”. Jak wskazywała nazwa, można tu było się zatrzymać, ogrzać i poprawić humor na dalszą drogę. Oberża często rozbrzmiewała hucznym, choć niezbyt składnym śpiewem, a sam właściciel osobiście zachęcał gości do wesołej zabawy. Po kilku latach, oberżysta pożegnał się z tym światem - niektórzy mówili, że zbyt często i ochoczo brał udział w konsumowaniu oferowanych przez siebie trunków.

Gospodę, zmuszona była prowadzić dalej młodzieńca, śliczna, jasnowłosa córka oberżysty. Życie towarzyskie toczyło się tu dawnym trybem, ale dziewczyna nie była z tego zadowolona, pamiętając ekscesy ojca. Wielu młodych woźniców zalecało się do niej, ale ona nie odpowiadała na ich umizgi. Pewnego dnia, przed oberżę zajeżdżał wóz powożony przez młodego furmana, który wszedł do środka, aby się pożywić przed dalszą podróżą. Usiadł przy stole w kącie sali i nie interesując się otoczeniem, spożywał zamówiony posiłek. Jego zachowanie, zwróciło uwagę dziewczyny. Szczególnie zauroczyły ją, jego niebieskie, smutne oczy. Kiedy zjawiał się, prowadząc kolejny transport węgla, podawała mu najsmaczniejsze kąski i z utęsknieniem czekała na kolejne spotkanie. Młodzieńcowi też nie była obojętna, bo coraz częściej wodził za nią rozmarzonym wzrokiem. Kiedy wydawało się, że znajomość przerodzi się w głębokie uczucie, jego wóz nie pojawił się już przed oberżą. Gdyby bywalcy gospody wiedzieli o uczuciach oberżystki, powiedzieliby jej, że nigdy go już nie zobaczy.

Zdjęcie: Bolesław Kwiatkowski



Transporty z Wałbrzycha wyruszały, kiedy trwała jeszcze głęboka noc. Tak było też tej burzowej nocy, kiedy młody woźnica zginął. Prawdopodobnie, przy zjeździe stromą drogą do Świebodzic, koń potknął się na śliskim bruku i zginął wraz z właścicielem, pod kołami ciężkiego wozu. Nie wiedząc o tragicznym zdarzeniu, dziewczyna często wychodziła na drogę z nadzieją, że wreszcie ujrzy wóz ukochanego. Nadała nową nazwę swojej oberży - „Nadzieja”, licząc, że los okaże się dla niej łaskawy.

Mijały lata, a ona nigdy nie wyszła za mąż, do końca czekając na spełnienie marzenia. Po jej śmierci, oberża również popadła w ruinę, ale stoi do dziś, potwierdzając, że „Nadzieja umiera ostatnia”. Wiele mieszkańców Cierni twierdzi, że ciemną nocą, kiedy szaleje burza, z ruin wychodzi na drogę zjawia dziewczyny i wypatruje na starej, Węglowej Drodze swego ukochanego.

Maria Palichleb

Motywy mitologiczne i alegoryczne w zamku Książ cz.I Próba analizy i interpretacji (z uwzględnieniem elementów symboliki)

Podejmując temat obecności motywów mitologicznych w zamku Książ, musimy mieć świadomość faktu, że tekst mitologiczny jest bardzo specyficzny, ponieważ odczytywanie jego sensu to nic innego, jak opowiedzenie się za jedną spośród wielu możliwych wersji, ponieważ: „mit jest mową, która porusza się na bardzo wysokim poziomie [...], gdzie znaczenie odrywa się od podstawy językowej, po której początkowo toczy się”.¹

Można więc interpretować go jako tekst o znaczeniu metaforycznym, często mający niewiele wspólnego z dosłownością i wtedy zaczyna się jego samodzielna „egzystencja”.

Jego popularność wynika z odniesień do przeszłości, „opowiadania pewnej historii”, a wartość wynika stąd, że te wydarzenia są traktowane jako dziejące się w pewnym czasie, „tworzą trwałą strukturę” odnoszącą się do przeszłości i teraźniejszości i

przyszłości.”²

Opowieści te są więc uniwersalne, ponadczasowe. Musimy sobie uświadomić, że były one tak powszechne, ponieważ umożliwiały kodyfikowanie zjawisk, poznawanie podstawowych pojęć, niezbędnych w procesie postrzegania świata, a przede wszystkim – rozumienia go.

Książ, jak większość podobnych założeń parkowo – ogrodowych w epoce baroku, został ozdobiony rzezbami. Statuaria o tematyce mitologicznej, były najczęściej ustawiane na tarasach, przy fontannach i na attykach wież. W interesującym nas kompleksie występują wszystkie wymienione sytuacje.

Już Ignatio Naso pisał o „rzadkich przedmiotach zbytku – rzeźbach ogrodowych”.³ Były one także określane mianem: „piękne statuy”.⁴ Ten drugi epitet pozwala traktować ogród „jako zapowiedź [...] dekorowanego rzezbami, jaki upowszechnił się na Śląsku dopiero w XVIII wieku”.⁵ Spełniał on funkcje reprezentacyjne; zgodnie z konwencją epoki, jego zadaniem było olśniewanie ozdobnością i przepychem. Zdaniem K. Eysmontta: „Ustawianie rzeźb w przestrzeni samego ogrodu miało [...] związek z kulturą antyczną”.⁶ Powiązania te można rozpatrywać w dwóch aspektach:

1. jako sam fakt istnienia rzeźb wolno stojących w kompleksie parkowym.

2. nawiązywania do motywów antycznych.

W architekturze ogrodów Śląskich, wolno stojące rzeźby zastosowano już w XVI wieku, w ogrodzie Lorenza Scholza.⁷ Wynika stąd wniosek, że jego kompozycja i elementy w baroku, wpisują się – w pewnym sensie – w zastany kontekst tendencji renesansowych. W okresie tym, rzeźba zaczyna odgrywać zdecydowaną samodzielną rolę, wychodząc na place i do ogrodów. Wszystkie budynki były związane z otoczeniem, włączone w przestrzeń, a mosty, fontanny i pomniki – podkreślały architekturę. Barok wyraźnie eksponował indywidualizm artysty, a prezentowana wizja świata została poddana teatralizacji. W rzeźbach ogrodowych dominowała baśniowość starożytnych. Te, które zachowały się do dziś, umożliwiają dokonanie przeglądu motywów ikonograficznych i próbę rekonstrukcji „programów ideowych”.⁸ Ówczesnych twórców inspirowały przede wszystkim mitologia. Zestawienie bogów i personifikowanych pojęć było podporządkowane z góry określonym regułom – nigdy nie miały one charakteru przypadkowego.

Konstanty Kalinowski⁹ zauważa że w Książu mamy do czynienia z dwoma kręgami tematycznymi:

1. elementami mitologii
2. elementami alegorii

Pierwsza grupa to antyczne bóstwa i herosi (Apollo, Artemida, Neptun, Prozerpina, Herkules, Alkioneus, Boreasz, Orytheja, Dionizos, Ariadna.

Druga – personifikacje Cisy, Muzyki, Wody na dziedzińcu głównym. Stałości, Wspaniałomyślności, Pokoju i Stateczności – na Tarasie „Kaskadowym”). Tematy realizowane w barokowej rzeźbie były rodzajem syntezy, wynikającej z konkretyzacji motywów literackich, komentującej rzeczywistość z perspektywy człowieka XVII – XVIII wieku.

W kompozycji założen parkowo – ogrodowych tej epoki można było wyodrębnić dwie sfery:

- rzeczywistą, czyli przyrodę (drzewa, kwiaty, krzewy)

- duchową, intelektualną, przywołaną przez personifikowane pojęcia bądź postacie bogów i herosów. Ogrody te funkcjonowały w feudalnej rzeczywistości, miały więc charakter elitarny. Dostęp do nich był raczej ograniczony. „Maluczy” tego świata byli pozbawieni możliwości obcowania z plenerową sztuką, która była traktowana jako „tajemniczy język dla wtajemniczonych”.¹⁰ Wąski krąg „odbiorców”, przechadzających się wśród roślin i rzeźb był przygotowany do recepcji treści i znaczeń, jakie ze sobą niosła sztuka. Dlatego alegorie i symbole były (najprawdopodobniej) właściwie rozumiane i interpretowane. Przecież przedstawiciele elity ówczesnej byli „zobowiązani do okazywania zainteresowania rzeźbą i architekturą. Był to bowiem Essentials attribute (nieodłączny atrybut) dobrze wychowanego człowieka”. (D. Lichaczow, *Poezja ogrodów. O semantyce stylów ogrodowo – parkowych*, Ossolineum 1981, s. 189). Trudno dziś ocenić – w jakim stopniu była to autentyczna wiedza i zainteresowanie sztuką, a w jakim – snobizm. Trzeba zaznaczyć, że tematyka ta odwoływała się do określonego kanonu lektur i pewnego zasobu wiedzy, uwzględniającego najczęstsze motywy mitologiczne (np Apollo, Dafne, Marsjasz). Nasuwa się pytanie: dlaczego były one tak popularne? Zdaniem Mircei Eliadego „symbole, mity [...] podlegające upowszechnieniu bądź też spontanicznie odkrywane ujawniają ostateczną sytuację człowieka, a nie tylko sytuację ostateczną, to znaczy sytuację jaką człowiek odkrywa, uświadamiając sobie swe miejsce we wszechświecie”.¹¹ Teza ta ma charakter antropologiczny, bo zakłada kontekst ludzki. Według M. Eliadego, dzięki obecności mitów i symboli w naszej świadomości, łatwiej nam pojąć sens naszej egzystencji i specyficzną hierarchię, jakiej podlega homo sapiens. Często wnętrza pałacowe i ich dekoracje miały zindywidualizowany charakter. Były nasycone znakami, alegoriami, mitami, które „odpowiadają pewnej potrzebie i spełniają pewną funkcję obnażania najskrytszych modalności bytu”.¹² Uwzględnianie elementarnych aspektów życia i ponadczasowość sprawiły, że były powszechne, a twórcy zawsze chętnie sięgali do bogatego źródła mitologii.

Na początek, proponuję spacer po tarasach – osobliwą wędrówkę w przeszłość i tropienie śladów mitologii. Jednym może się to wydawać pasjonujące,

innym – nużące.

Oto przed nami pierwsze statuarium, które wyszły spod dłuta Gottfryda Augusta Hoffmana, świdnickiego mistrza.¹³ Przybył on do tego miasta w 1728 roku z Drezna. Jak podaje K. Kalinowski, uzyskał prawa miejskie i posiadał już uprawnienia mistrzowskie. Jego autorstwa są rzeźby na Dziedzińcu Głównym, na tarasach oraz figury alegoryczne na attyce wieży.¹⁴ Inspiracją tych dzieł, nawiązujących do bardzo modnych w epoce baroku wzorów antycznych, były najczęściej współczesne sztychy, przedstawiające rzeźbione wizerunki starożytnych bóstw, przechowywane przede wszystkim w kolekcjach rzymskich.¹⁵ Dyktowały one „antykwizujący sposób przedstawienia nagich postaci”.¹⁶

Najprawdopodobniej więc istniały wzorce, jako punkty odniesienia, ale różnych twórców. Kwestia, jak były one realizowane przez nich, wkracza w tematykę „komparatystyki”, która pozostanie poza



sferą interesującego nas tematu.

Most przerzucony nad dawną suchą fosą, przed Dziedzińcem Głównym, jest strzeżony przez dwa lwy, bowiem ta liczba symbolizuje początek, tworzenie, przejście w czasie i przeciwległe odbicie. Ważne były nie tylko, jak mogłoby się wydawać, względy kompozycji i symetrii (w heraldyce dwa lwy mogą wzmocnić symboliczną wymowę godła).

Wspierają się one na kartuszach herbowych:

Konrada Ernesta Maksymiliana von Hochberga – ten z lewej strony i jego małżonki Krystyny Doroty Reiss von Plauen – z prawej. Można ubolewać nad faktem, że w ostatniej dekadzie lipca (2009), spadający konar uszkodził go. Widać liczne pęknięcia na postumencie, ponadto zniszczeniu uległ dolny róg kartusza herbowego. Zniszczenia te zostały naprawione w bardzo krótkim czasie.

Zgodnie z zasadą symetrii, obowiązującej nawet w epoce ruchu, dynamiki form, łuków i krzywizn – lwy są dwa.

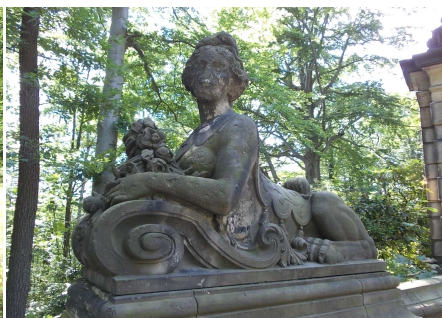
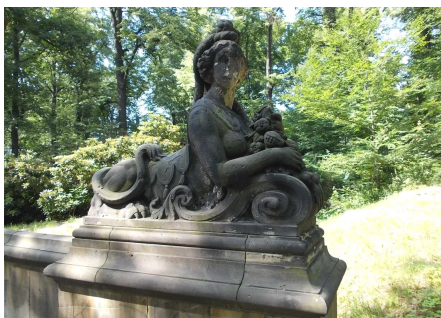
Głowy ich zostały wyrzeźbione z dużą precyzją i lekkością dłuta. Władca zwierząt prezentuje pełne użębienie, jakby chciał powiedzieć: „mieście się na baczności, lepiej ze mną nie zaczynajcie – to mój teren!”. Grzywa splota falistą linią wokół głowy, poddana barokowej stylizacji. Nie jest to spokojny

zarys – układa się w misterne esy – floresy, dość subtelnie przedstawione.

Lew w antyku był królem zwierząt, symbolem siły, odwagi, hartu ducha. Dlatego motyw ten tak często pojawia się w emblematyce heraldycznej królewskich i arystokratycznych rodów. Lwy na tarasie siedzą, a więc pozostają w stanie czuwania. Strzegą dostępu do zamku. (Należy zwrócić uwagę, że spotkamy je po raz pierwszy, idąc drogą parkową od strony Świebodzic. Górują one nad okolicą, mierząc wzrokiem, czy nie zbliża się ktoś niepowołany. One także czuwają – stoją na straży rezydencji, umiejscowione na wysokich, boniowanych pylonach, trzymają w łapach mitry książęce i herby).

Lew był także związany z bóstwami gromowładnymi, z krainą zmarłych i światem podziemnym. Jednak najprawdopodobniej, ta symbolika nie znajduje potwierdzenia w sztuce wykonanej z myślą o Hochbergach. Chyba bliższa mentalności tego rodzaju interpretacja arystotelesowska: lew jako zwierzę szlachetne, mężne i arystokratyczne.

Warto dodać, że dla Greków i Rzymian kamienne posągi lwów były strażnikami źródła i nieodłącznymi atrybutami władcy i wojownika Lęka i respekt, jakie one wywoływały, nakazywał umieszczanie wizerunków ich jako obrońców bram. Nie stało się to



regułą. W pobliżu intrygującego basenu „ósemki” brama została zwieńczona wazonami z kwiatami. Inny wjazd – od strony Lubiechowa – jest strzeżony przez sfinksy, których wyobrażenie stanowi realizację wytycznych Eliana: mianowicie, mają twarze i ciała aż do piersi – dziewczęce, natomiast tułów lwa.¹⁷

Sfinks z Gیزی, traktowany jako synteza władzy przeszłości, spogląda w wschodzące słońce, rozmyśla o niebie i ziemi, stając się symbolem łączącym cztery żywioły. Także i „nasze” patrzą na wschód. Czy to tylko zbieg okoliczności? A może gruntowna wiedza projektanta nadała im taką lokalizację i kazała patrzeć w stronę budzącego się dnia?

Rzeźby te noszą piętno czasu, który nie okazał się dla nich łaskawy. Rysy twarzy są prawie nieczytelne, bo znaczny fragment został odłupany. Zastana-



wiające jest, jakimi motywami kierowali się wandalizujący je? Jaki współczynnik głupoty, prymitywizmu trzeba mieć zakodowany, by podejmować takie działania? Pozostał zarys włosów, misternie splecionych w długi warkocz. Hybrydy trzymają kosze, wypełnione owocami i kwiatami (gdy stanimy przed bramą, od strony Lubiechowa, ta po prawej stronie ma kwiaty, po lewej – owoce).

Bardzo realistycznie prezentują się granaty i winogrono.

Łańcuch symboliczny tych pierwszych jest bardzo długi. Wśród wielu znaczeń, na uwagę zasługują te, które łączą się z głównym motywem bramy – sfinksów, skierowanych ku wschodzącemu słońcu. Semantyka, podana przez Władysława Kopalińskiego¹⁸ jest bogata: i tak granaty mogą oznaczać: potęgę, zwycięstwo, doskonałość. Interesujące, że niektóre spośród nich pozostają w wewnętrznie antagonistycznej relacji (np. nieśmiertelność – zmartwychwstanie). Inne znaczenie to: miłość, nadzieja, wierność, jedność, świat podziemny (mit o Persefonie – Korze – Prozerpinie).

Przypisany granatom walor mądrości także wydaje się odpowiednim określeniem, odnoszącym się do sfinksów. Owoce ten był związany z Herą – boginią macierzyństwa, trzymającą w ręku granat – symbol małżeństwa.

Natomiast winogrona mogą oznaczać ofiarę (w tradycji chrześcijańskiej) jednak to znaczenie nie znajduje odniesienia w tej kompozycji. Inne to: święto, uroczystość, młodość, jesień, wrzesień. Uwzględniając fakt, że pojawiają się jako jeden spośród wielu motywów dekoracyjnych w bramie, można im przypisać

znaczenie gościnności,¹⁹ a więc właściciele zamku chętnie powitają w swoich progach przybywających. Nasuwa się pytanie: czy rzeczywiście wszystkich?

Nie można tu pominąć znaczenia kwiatów (niezbyt jednoznacznych w identyfikacji, ale najprawdopodobniej są to róże). Kwiat ten mający status królowej, posiada także bogate znaczenie symboliczne. Należą do nich (między innymi) takie pojęcia: wieczność, śmierć, zmartwychwstanie (pozostające w opozycji do kruchości i przemijania,



radość, uroczystość.

Można tu podkreślić semantyczny walor zagadkowości i mądrości, odnoszący się do samej obecności sfinksów.

Warto dodać że róża była atrybutem Eos – Aurory – Jutrzenki (nomen omen, imiona te nasuwają skojarzenia ze wschodnią lokalizacją tej bramy), a także Charys – Gracji²⁰ – bogiń wdzięku i radości.

Od strony punktu widokowego widzimy plecy hybryd, na które opadają misternie splecione warkocze, układające się w literę „S”. Tułowia ich zdobią nakrycia z frędzlami.

Pylony bramy wieńczą wazy, podtrzymywane przez putti. Ta, po prawej stronie, jest wypełniona owocami (gdy patrzymy od strony zamku), druga, po lewej – kwiatami. Wydawałoby się, że znaczna wysokość uchroni detale przed zniszczeniem... Okazuje się jednak, że dla wandalów to żadna przeszkoda... mogą przecież wspiąć się wszędzie i dokonać swego dzieła... Z amorka po lewej stronie zostały tylko nogi!

Jako element zdobniczy wolut pojawiają się stylizowane liście akantu. Ten motyw zdobniczy w średniowieczu symbolizował wzrost i życie (poprzez rozwój rośliny): jego kolce miały oznaczać rzeczy niższe.²¹

Przypisy:

1. Katarzyna Prosner, *Semiotyka strukturalna w badaniach nad literaturą*, Wyd. Lit. Kraków 1981, s. 145
 2. *ib.*
 3. Krzysztof Eysmontt, *Śląskie ogrody XVII i XVIII wieku* [w:] *Z dziejów sztuki śląskiej*, PWN Warszawa 1978, s. 282
 4. *ib.*
 5. *ib.*
 6. *ib.*, s. 291
 7. *ib.*
 8. Konstanty Kalinowski, *Rzeźba barokowa na Śląsku*, PWN Warszawa, 1986, s. 296
 9. *ib.*
 10. Mircea Eliade, *Mit, historia. Wybór esejów*, Warszawa 1970, s. 27
 11. *ib.* s. 51 – 52
 12. *ib.* s. 33
 13. W literaturze poświęconej historii zamku spotkamy się z informacją, że A. G. Hoffmann jest prawdopodobnie autorem rzeźb (R.M. Łuczyński); M. Perzyński pisze w swoich książkach o Auguście Gottfrydzie, konsekwentnie pomijając nazwisko.
 14. K. Kalinowski, *op. cit.* s. 185 [przed przebudową zamku, czyli do 1908 roku].
 15. *ib.*
 16. *ib.*
 17. Cesare Ripa, *Ikonologia*, Universitas Kraków 2008, s. 338
 18. Władysław Kopaliński, *Słownik symboli*, PWN Warszawa 1990, s. 103 – 105
 19. *ib.* s. 468
 20. *ib.* s. 361 – 364
 21. Juan Eduardo Cirlot, *Słownik symboli*, Wyd. Znak, Kraków 2007 s. 63
- Zdjęcia: Jan Palichleb i Wojciech Palichleb

Róża Stolarczyk

Gustloff – inna strona historii

Do opisanie tej historii skłoniły mnie oglądane w ostatnich tygodniach programy telewizyjne na kanałach: Planet, History, National Geographic i dwa artykuły, które ukazały się w lutowym numerze Focus Historia, dotyczące exodusu ludności niemieckiej z Prus Wschodnich – drogi przez zamrożony Zalew Wiślany, czy drogi do portu w Gdyni, gdzie na wybranych czekał „Gustloff”. O tej katastrofie napisano wiele i wiele opowiedzieli ci, co przeżyli. Zawsze, są to relacje Niemców. Czy jednak ktoś zadał pytanie: „Czy było to słuszne?” Historii nie zmienimy, ale czasem możemy do niej coś dodać. Ja, chciałabym dodać. Jest to historia, którą mi opowiedział pan Bronisław W. (zmarł w 2011r.). Oto ona:

Urodziłem się w Warszawie. Ojciec pracował w warsztatach kolejowych – był mechanikiem, mama pracowała w zakładzie krawieckim. Kiedy wybuchła wojna, miałem 17 lat i zdałem do klasy maturalnej. W pierwszych miesiącach wojny właściwie nic się nie zmieniło w naszym życiu oprócz tego, że we wrześniu nie poszedłem do szkoły i coraz trudniej było z zakupem żywności. Ojciec pracował cały czas, natomiast mama szła w domu, a właściwie „przerabiała” odzież. Ponieważ tata był dobrym fachowcem, użył swoich znajomości i mnie też zatrudniono w warsztacie. Warsztaty kolejowe były dla Niemców ważne, więc oprócz kilku niemieckich nadzorców zostali starzy pracownicy. Miałem niewielkie pojęcie o tej pracy. W szkole miałem dobre stopnie z przedmiotów ścisłych i umiałem się posługiwać suwmiarką. Umiejętności te okazały się bardzo przydatne w nowej pracy. Z czasem, coraz częściej zdarzało się, że koledzy z warsztatów „kryli” moją nieobecność w pracy, a ja jeździłem na wieś po żywność, co stało się praktycznie moim głównym zajęciem w czasie wojny. Jesienią 1942 roku, podczas jednego z takich wypadów, wracając już do domu, do wagonu weszli Niemcy i zaczęli wszystkich rewidować. Myślałem, że nic mi nie zrobią – miałem „mocne papiery”, ale niestety, pechowy stał się poleć boczek ukryty pod podszewką płaszcza. Wyciągnęli mnie z wagonu, a potem znalazłem się w ciężarówce, która jechała w nieznaną. Po kilku przystankach, w obcych mi miejscach, gdzie do jedzenia dostawaliśmy jakąś brunatną zupę i kromkę chleba – znalazłem się w Königsbergu (ob. Kaliningrad). Tam, odbył swoisty „targ niewolników” - Niemcy z okolicznych gospodarstw wybierali dla siebie robotników. Tym sposobem, znalazłem się w Kreuzburgu (dziś Sławskoję), w dużym gospodarstwie należącym do rodziny Greberów, gdzie już było kilku „niewolników” - Polacy, Czesi, Rosjanie, jeden Francuz i Duńczyk – mężczyźni i kobiety. Rządziła tam Lotta Greber – jej mąż Gustaw zginął podobno na froncie wschodnim, syn Karl służył w SS, a córka Uta w służbie pomocniczej w Königsbergu. Był jeszcze syn Josef, który przez matkę był traktowany jak piąte koło u wozu, bo był kaleką – chodził o kuli – i nie mógł „służyć wodzowi i ojczyźnie”. Choć właśnie on z całej rodziny był najbardziej ludzki – nawet przychodził wieczorem tam, gdzie mieszkaliśmy, żeby posłuchać Luby - Rosjanki, która cudnie śpiewała gdy ją poprosiliśmy, a nasz Francuz, Luis, na swoim akordeonie nawet nauczył się grać te wszystkie rosyjskie dumki. Dobrze, że Lotta o tym nie wiedziała, bo mogło się to źle skończyć dla nas i

dla Józka, jak nazywaliśmy Jozefa. Pracowaliśmy ciężko, a jedzenia dostawaliśmy niewiele i właśnie Józek czasami wołał któregoś z nas, otwierał spiżarnię i dawał jedzenie. Czasem przyjeżdżał Karl, ale wtedy lepiej było schodzić mu z oczu, bo tylko szukał pretekstu do „rządzenia”, czyli bicia i jeszcze gorszych rzeczy, o których wolę nie mówić. Jak przyjeżdżała Ute, to na szczęście my jej nie obchodziliśmy, tylko strasznie wyżywała się na Lubie. Ona służyła w domu i była bardzo ładna, a Ute urodą nie grzeszyła. Luba miała piękny warkocz, który upinała dokoła głowy. Kiedyś Ute przyjechała z koleżankami i chcąc się przed nimi popisać - na ich oczach obcięła dziewczynie ten warkocz, a ta nie zrobiła nic, bo gdyby się rozplakała, to tamte miałyby jeszcze lepszą zabawę. W takich chwilach Józek wychodził z domu i siedział w pola, albo do stajni, bo jemu też dokuczali, choć był ich bratem.

Tak dożyliśmy do 1945r. Już pod koniec 1944, wszyscy wiedzieli, że Rosjanie „gonią” Niemców. Jeszcze przed Bożym Narodzeniem byli tacy w okolicy, co spakowali się i wyjechali. Ale nie Greberowie. Przyjechał Karl i zakazał wyjazdu. Dopiero po nowym roku przyjechał znowu i kazał się rodzinie pakować. Ale tylko rodzinie. Zapakowaliśmy dwa wozy - jednym powoziłem ja, drugim Luis. Przed wyjazdem, Karl strasznie pokłócił się z Józefem tak, że ten chciał zostać. Wtedy Karl, poszedł do czworaków, wyciągnął Lubę, zawlókł za stajnię i zastrzelił. Była w ciąży z Józefem. Po tym zdarzeniu, Józef wsiadł na wóz i ruszyliśmy. Nie wiedziałem gdzie jedziemy, przewodnikiem był Karl. Tylko było słychać coraz bliżej rosyjskie armaty. Po pewnym czasie zorientowałem się, że jedziemy drogą na Heilsberg (Lidzbark). W pewnym momencie usłyszeliśmy zbliżające się czołgi. Karl kazał zjechać do lasu. Minęły nas z wielką szybkością. Cieszyłem się, że Rosjanie są blisko. Po kilku kilometrach, na drodze, zauważyliśmy porożjeżdżane przez czołgi inne wozy i ludzi, którzy prosili o pomoc. To był styczeń i chyba ze 20 stopni mrozu. Karl nie pozwolił się zatrzymać i udzielić pomocy. To Niemcy rozjechali swoich - uciekali, bo wiedzieli, co się stanie, jak dogonią ich Rosjanie. W Preußisch (Pasłęk) zatrzymaliśmy się tylko

na kilka godzin, żeby konie mogły odpocząć. Potem skierowaliśmy się na Marienburg (Malbork), gdzie Luisowi kazali niektóre rzeczy z jego wozu przeładować na nasz, a resztę zawieźli na przechowanie do pobliskich zabudowań - podobno koszar. Co się stało z Luisem - nigdy się nie dowiedziałem. Potem jechaliśmy do Dirschau (Tczew). Wtedy zorientowałem się, że jedziemy do jakiegoś portu. Jechaliśmy do Gdyni. W czasie tej drogi widziałem straszne rzeczy - Niemcy zabijali swoich jeśli przeszkadzali im na drodze, jak za wolno jechali albo nie chcieli przepuścić. Karl miał jakieś specjalne papiery - w końcu, był SS-manem - wszędzie nas przepuszczali w pierwszej kolejności. Ale były chwile, że i on okazywał strach. Kiedy pierwszy raz usłyszeliśmy zbliżające się czołgi i nie wiadomo było czyje - to zamienił się ze mną kurtkę, bo miałem naszytą literę P. Jakby to byli Rosjanie, to by udawał Polaka, zresztą, znał nasz język, dlatego myślę, że był w oddziałach, które służyły w Polsce. W końcu dojechaliśmy do Gdyni. Co tam się działo! Cały teren przy porcie był ogrodzony i pilnowany - żołnierz stał obok żołnierza, nikt nie mógł wejść. Na teren portu chciała wejść na siłę jakaś kobieta z dziewczynką, może ośmioletnią - pilnujący żołnierz nie mógł sobie z nią poradzić i w końcu ją i dziecko zastrzelił. Widziała to Lotta i zaczęła histeryzować. Na to, Karl uderzył ją w twarz, żeby się uspokoiła, powiedział też, że wstęp do portu mają tylko rodziny SS-manów i Gestapowców i dopiero jak zostanie miejsce, to statki zabiorą innych. Greberowie czekali cierpliwie na swoją kolej. Mieli przydział na statek, co się nazywał „Gustloff”. Karl mówił, że tam będą wszyscy jego towarzysze, bo to jeszcze nie koniec i trzeba uratować najlepszych synów Rzeszy. Siedziałem na wozie i czekałem, właściwie nie wiedząc na co. W pewnej chwili przysunął się do mnie Josef dał mi dużą kurtkę z niemieckimi naszywkami i powiedział, że jak wywołają ich i wejdą za ogrodzenie, to mam uciekać. Dał mi też złotą bransoletkę i srebrny prawosławny krzyżyk i powiedział „to Luby”. Bransoletkę pewnie zabrał matce albo Ute - później, bardzo się przydała. Jak przyszła kolej na Greberów, pozwolili im zabrać tylko część rzeczy z wozu. Resztę, zawiozłem do jakiegoś magazynu. Włożyłem tę kurtkę od Josefa i po wniesieniu ostatniego pakunku, pilnujący Niemiec kazał odjechać - pokazał mi gdzie. Przez te lata, nauczyłem się po niemiecku i mogłem się z każdym dogadać. Jak wjechałem w tą ulicę gdzie mi kazali, to wóz przejęli inni Niemcy, a ja - pewnie dzięki kurtce - schowałem się w piwnicy opuszczonego domu. Z wozu zabrałem jedzenie, bo Greberowie zabrali go dużo. Ukryłem pod podszewką. Siedziałem w tej piwnicy i czekałem. Po pewnym czasie - nie wiem po jakim - wyszedłem. Na ulicach było zamieszanie. Nikt niczego nie pilnował. Wiedziałem, że muszę uciec z miasta jak najdalej. Tak też zrobiłem. Miałem szczęście - pewnie przez tę kurtkę od Josefa. Wyszedłem z miasta kierując się na południe. W końcu, dotarłem do Warszawy. Nie było miasta. Tylko ruiny. Poszedłem na moją

Miasto w grafice Jana Palichleba

Aleje Lipowe



JAN PALICHBLEB

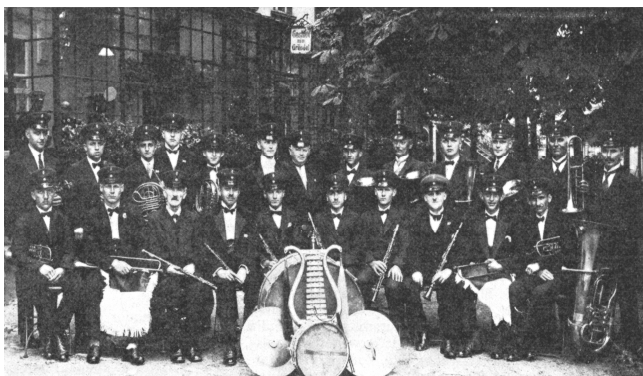
ulicę. Nie znalazłem nikogo. Dostałem się do Łodzi. Tam, po paru tygodniach powiedzieli, że zachodnie ziemie przy Odrze dostały się Polsce i potrzebny jest tam każdy, i każdy, kto tam pojedzie, dostanie mieszkanie i pracę. Tak oto znalazłem się w końcu w Świebodzicach - wtedy jeszcze, Fryburgu.

Kiedy po latach dowiedziałem się, że Rosjanie zatonili Gustloff - nie było mi żal tych, co tam zginęli - za Lubę, za tych, których w drodze zabił Karl, za tą kobietę i dziecko w porcie. Przecież tam byli tylko tacy jak Karl. Żal tylko dzieci i Josefa. Krzyżyk Luby mam do dziś. Dzieci pytają, skąd go mam. Mówię, że to pamiątka wojenna.

Tyle opowieści pana Bronisława. Choć nie żyje, szanuję jego anonimowość. Jego opowieść, to przyczynek do lepszego poznania ostatniego rejsu Gustloff. Opowieść, niejako drugiej strony. We wszystkich publikacjach wypowiadają się uratowani. Byli wtedy dziećmi. Często nie wiedzieli kim byli ich rodzice. Chyba dobrze, że historię tę opowiedział też ktoś, kto znajdował się po drugiej stronie.

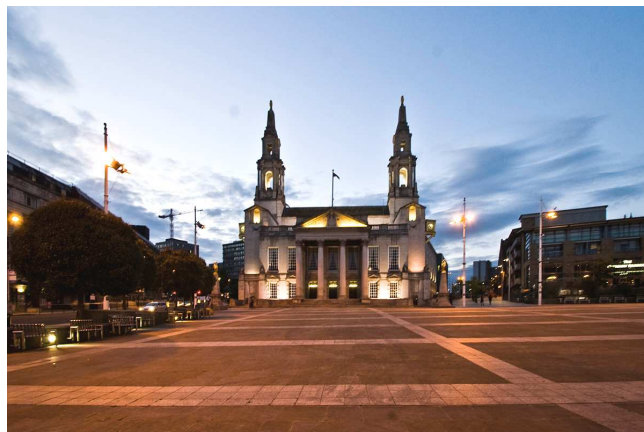
Spisałem tę opowieść, ale jej nie komentuję. Myślę tylko, że dobrze by było, gdyby ci, co opisują katastrofę „Gustloff”, pokusili się o podanie wszystkich okoliczności z nią związanych.

Świebodzicka orkiestra miejska przed budynkiem oberży w Pelcznicy.



Powyższe zdjęcie ma prawie 90 lat i było wykonane około 1925 przed oberżą Gründel w Pelcznicy. Kapelmistrzem i kierownikiem miejskiej orkiestry był wówczas Wilhelm Kühler, który przy ul Młynarskiej prowadził sklep muzyczny. Tam też udzielał lekcji muzyki. Orkiestra grała nie tylko w Świebodzicach, ale również w okolicznych miejscowościach. Zdjęcie dla redakcji „Tägliche Rundschau” udostępnił Georg Kühler (wnuk kapelmistrza) mieszkający teraz w Neuhausen przy Römerstraße 5.

W fotoobiektywie Adriana Pozdrowienia z Leeds - Anglia



Stara fotografia



Correctio „Ad vocem do historii zajazdu”

W opublikowanym (w majowym numerze) artykule Róży Stolarczyk pojawiły się dwa błędy. Pierwszy jest związany z nazwą kawiarni „Złoty Ul” przy ulicy Henryka Sienkiewicza. Zaraz po wojnie lokal ten należał do burmistrza Romińskiego i nazywał się „Jutrzenka”. Potwierdzeniem tego są wspomnienia Pana Andrzeja Trzaski (Pionierskie lata Świebodzie 1945-1950, s. 112): „Pierwszy burmistrz Romiński miał własny lokal Jutrzenkę”. Mogę również przytoczyć słowa Pani Aliny Kalafut, która pamięta, że kawiarnię tę prowadziła żona Pana Romińskiego. Autorka podała również błędne nazwisko właściciela komis: Marian Rychelski zamiast: Rechlewski. (zmarł w 1980 roku w wieku 93 lat).

Maria Palichleb

„Świebodzice - Dzieje Miasta”

<http://dzieje-miasta.dyndns.org> <http://jbc.jelenia-gora.pl>

Wydawca - Adam Rubnikowicz

Korekta - Maria Palichleb

Winieta - Jan Palichleb

Stale współpracują: Marek Mikołajczak, Maria Palichleb, Jan Palichleb, dr Daniel Wojtucki, Adrian Sitko, Róża Stolarczyk, Tadeusz Rubnikowicz, Waldemar Krynicki, Krzysztof Jędrzejczyk, Adam Mroziuk.

Podziękowania dla wszystkich, którzy udostępnili swoje zbiory.

Kontakt e-mail: adamr@pnet.pl

Przedruk możliwy po podaniu źródła.